DZIENNIK WARSZAWSKI.

Poniedziałek 12/24 Grudnia 1855 roku. № 342.

Jutro NARODZENIE CHRYSTUSA PANA.
Pojutrze Ś. Szczepana Męczennika.
Wschód słoń. o god. 8 min. 11. — Zachód o g. 3 m. 49.

Jutro i pojutrze z powodu uroczystych świąt, Dziennik nie wyjdzie.

WIADOMOŚCI KRAJOWE.

— Michał Jabłonowski, obywatel miasta Warszawy, w wieku lat 77, opatrzony ŚŚ. SAKRAMENTAMI, w dniu wczorajszym doczesne zakończył życie. Pozostali synowie zapraszają krewnych, przyjaciół i znajomych, na exportację zwłok z kościoła OO. Bernardynów w dniu 26 Grudnia o godzinie 4éj po południu na cmentarz Powązkowski odbyć się mającą.

— Karolina z Korfów Adamiecka, wdowa po b. pomocniku naczelnika powiatu Włocławskiego, w dniu 4 Grudnia r. b., zakończyła życie we wsi Ciechocinku, po kilkoletnich cierpieniach.

MOZAJKA DZIENNIKARSKA. — Dziś więc wigilja BOŻEGO Narodzenia. Gdyby ryby nie miały zimnéj krwi w żyłach zlodowaciałaby im ze strachu, tak straszliwa dnia dzisiejszego rozpoczyna się rzeź między niemi. Bo hołdując dawnemu zwyczajowi, im większa uroczystość, tém większą my obchodzimy ją ucztą. Ale uczta na wigilję BOŻEGO Narodzenia ma w sobie cóś patryarchalnego, cóś rodzinnego, iż zawsze wydawać nam się będzie czysto krajową i odrębną od zagranicznych nabyć. Niech każdy zasięgnie wspomnień swojego dzieciństwa, a pewno przypomni sobie, iż zawsze ta uroczystość największe w nim budziła wrażenie. Zapewnie znajdą się ludzie którzy zarzucą, iż najważniejszym do tego powodem było naprzód łakomstwo nieodłączne od dziecinnego wieku, a podłechtane zawsze sutym wedle możności przyborem wiljowym, powtóre owa pożądana od dzieci gwiazdka i podarunki, które ona zwykle za sobą sprowadza. Ależ na bok wziąwszy to wszystko, ta sama gwiazdka, ta kolęda, te uroczyste przybory silnie działają na dzieci, i zdają im się nawidzenie Bóstwa zapowiadać. Wigilja jest to uroczystość czysto domowa, a przy każdéj takiéj domowéj uroczystości, występują na jaw starodawne zwyczaje. To też posilamy się potrawami ojców naszych, zapijamy je również ojców naszych trunkiem i weselimy się ich obyczajem, przypuszczając do naszéj wesołości rodzinę, domowników, służbę. Jakiż to rzewny jest obrządek samo łamanie się opłatkiem. Przy łamaniu się opłatkiem ustępują na bok wszelkie nienawiście, zacierają się wszelkie krzywdy, pozostaje jedynie przyjaźń, miłość, braterstwo chrześcijańskie. Biada temu kto nie pojął świętości tego zwyczaju, kto ustami jedynie głosi życzenia, i przy dzieleniu się chlebem Bożym, chociażby ze swoim wrogiem, zachowuje złą myśl w sercu. Biada mu, bo łaska którą Bóg wyświadcza przez pojawienie się swoje pomiędzy nami, powinna być zasłużoną przez nas, poprzedzoną zatarciem tego wszystkiego, co nas niegodnymi jéj czynić może. A jakaż to przytém nauka i prawda jest w tém łamaniu się chlebem pańskim; jak widno, iż Bóg po to udzielił go ludziom, żeby się nim z bliźnimi dzielili. A u iluż to niestety przejdzie ten dzień jak chwila; zapomni się życzenia, a rzeczy po dawnemu pójdą. Przez te kilka dni poprzedzające święta, cała prawie Warszawa w bazar się wielki zamieniła. Ciekawem byłoby przeczytanie wszystkich poleceń się z towarami, których kupcy w doniesieniach gazet, a mianowicie Kurjera Warszawskiego nieszczędzą, ciekawszem niżli wystawy tychże towarów. Zaprawdę zdawałoby się czytającemu te doniesienia, iż cała wystawa Paryska przeniosła się do Warszawy. Bo ileż to przedmiotów w każdym sklepie z téj wystawy sprowadzonych, cygarówki wystawowe, lornetki wystawowe, rękawiczki wystawowe, paltoty wystawowe, pachnidła wystawowe, trociczki wystawowe, lekarstwa wystawowe, aż w oczach się mieni czytając to wszystko. Biedni ci kupcy angielscy, niemieccy, włoscy, oraz innych obcych nacji. Wszakże dla nich nic już nie ostało. Nasi dla wygody tutejszéj publiczności wszystkie przedmioty z wystawy Paryskiéj sprowadzili. Kupujący ogląda jakie cacko, zdaje mu się ono być rzeczą najzwyczajniejszą, widział jeszcze podobne a może nawet piękniejsze, gustowniejsze i wygodniejsze przeszłego lub zaprzeszłego roku, zapytuje się o cenę, dziwi się słysząc, że jest potrojona, i chwytając się z oględnością pieniężnego człowieka za kieszeń zamierza wymknąć się sklepu. Ale kupiec zatrzymuje go czarodziejskiemi wyrazami. »To jest najświeższy wyrób dopiero co sprowadzony, to figurowało na wystawie Paryskiéj.« I nie dość na tém, że objaśniają o tym przymiocie wszelkiego pytającego lub niepytającego się »o pochodzenie przedmiotu,« niektórzy z nich przylepiają do sprawunków swoich kartki z napisem »wystawy Paryskiéj.« Widzieliśmy jednego, który nosił najzwyczajniejsze kalosze gumelastyczne z taką kartką, innego znów, który przylepił ją sobie na kapeluszu, tak iż zdawało się, że to samego właściciela kapelusza w Paryżu wystawiano.

Jeszcze przed rokiem może, mała niepozorna ramka, a w niéj kilka niewielkich, ale bardzo ładnych dagierotypów, przy bramie domu Łagiewnickich (Nro 643) obok Magistratu, wskazywała miejsce pracowni p. Jana Mieczkowskiego, który w szczupłym pokoiku i na otwartym ganku, pracując z maszynką Daguera, miał jednak ciągle licznych gości, bo roboty jego zalecały się istotnie szczególną dokładnością, szczęśliwem artystycznem oświetleniem, a obejście z interesantami, ujmującą uprzejmością i zrozumieniem swego powołania, to jest sumiennego zadość-uczynienia żądaniom odwiedzających jego pracownię. Powodziło się dobrze młodemu pracownikowi, bo każdy zadowolony wychodził od niego i chętnie go znajomym zalecał.

Tak więc w szczupłym zakresie skromnéj pracowni, pan Mieczkowski zrobił sobie dobre imie, i co ważném jest w każdém podobném przedsięwzięciu, liczną i przyjazną klientelę, i gdy z zebranym z sumiennéj pracy zasobem, rozszerzył zakres swych działań i już nietylko jako dagierotypista ale i jako fotograf, otworzył *atelie* na większą skalę, nic dziwnego że mu na kuntmanach nie zbywało, bo publiczność nasza chętnie powierza się tym, którzy na jéj zaufanie zasługują, a prócz tego pierwsze zaraz próby fotograficzne p. Mieczkowskiego, jakkolwiek poczynającego w tym zawodzie, zwróciły uwagę znawców, a szybki postęp jego robót, wkrótce postawił je zupełnie na równi z wszystkiemi jego poprzednikami w tym zawodzie, a nawet niektórych pomiędzy niemi, daleko zostawiły za sobą.

Kto kocha pracę dla saméj pracy, ten znalazłszy zachętę, podwoi gorliwość, i postęp biorąc za cel usiłowań, podwójnym krokiem posuwa się naprzód. Ten tylko kogo trudności zniechęcają, w pomyślności staje na miejscu. Pan Mieczkowski nie należy do téj drugiéj kategorji, bo im bardziéj powiększały się względy Publiczności dla niego, tém usilniéj starał się zasługiwać na nie, i każda nowa próbka wystawiona w jego pracowni, świadczyła że te usiłowania nie są daremne. Obecnie dowiadujemy się że p. Mieczkowski, aby tém pewniéj zadość uczynić żądaniom coraz powiększającéj się liczby pokładających w nim zaufanie, obok sprowadzenia z zagranicy najrozmaitszych i najgustowniejszych przyborów swego powołania, postarał się o powiększenie sił swego zakładu, przybrawszy do współki młodego artystę-malarza pana P. Górskiego, który nie zysków, ale korzystnego zajęcia szukając w téj spółce, prócz materjalnych zasobów, wniósł z sobą szczere poświęcenie się temu nowemu zawodowi i niewątpliwie dzielną będzie pomocą swemu towarzyszowi. Miło nam zanotować ten fakt, już nie pierwszy, jako dowód, że nasza zasobna młodzież, coraz bardziéj okazuje skłonność do pożytecznych zatrudnień, zamiast czczych rozrywek i marnowania najpiękniejszych lat życia.

O ile nam wiadomo, dwaj młodzi wspólnicy, układają szerokie plany dalszego rozwoju swojego zawodu, w czem im szczerze pomyślności życzym, a o każdym ważniejszym wypadku na téj ich drodze, czytelnikom naszym zdawać sprawę nieomieszkamy, wierni téj zasadzie, że obowiązkiem Dziennika jest donosić publiczności o wszystkiém, co dla niéj interesującém lub użyteczném być może.

DZIECIĘ PRÓŻNOŚCI.

OPOWIADANIE

przez

Autora Kłopotów Starego Komendanta.

(Ciąg dalszy).

— Ależ to jeszcze daléj od pana do Pinczowa niż stąd, może i koni nie dostanie nająć.

— Eh, fanfaron jesteś! Cóż to? u mnieby się para szkapiąt nie znalazła... no no, no, co tam ceregiele wyprawiać, wsiadaj!

— Skoro pan dobrodziéj tak łaskaw...

— Co mam być łaskaw, pakujże prędzéj, no a idźże — wołał popychając go ku dworowi. — A jakie też z was dzisiaj marudy... Nie bój się, nie zginiesz, nie znudzisz się; mam ja ta w sąsiedztwie dwie ładne dziewuchy, dalibóg jak zobaczysz, to nie tak prędko odjedziesz. A bogate mówię ci: dwie wioski czyste panie mój, ani grosika długu. No, czegóż się ty ociągasz, maszeruj po tłumok!

I nasz Józef rad nierad, zachęcony, proszony, obligowany przez tego poczciwca, wpadł do swego pokoju, spakował skromny kufereczek, a nie przeżegnawszy się na odjezdnem, tak pokryjomu prawie i bez wynagrodzenia, czmychnął daléj w świat z panem Szymonem.

V.

Tego dnia wieczorem, licytację ukończono. Pan komornik zadowolniony zupełnie, oddawszy papiery i gotowiznę przybyłemu plenipotentowi, poszedł jeszcze pożegnać się z ex dziedziczką, a kłaniając się ile można najniżéj, przepraszał, sumitował i zalecał dalsze służby swoje. Ma się rozumieć, ta biorąc to wszystko za żart z jego strony, obrzuciła biednego jurystę tysiącem obelg, wyrzekań i przyrzeczeń zemsty.

Ale na co się to wszystko zdało: exmisja poszła zwyczajną drogą, plenipotent objąwszy zarząd, wpakował się na mieszkanie do dworu, zajął pokoik po Żarskim, a pani Gąsiewskiéj rozkazał wyprowadzić się w ciągu dni trzech, grożąc wyrzuceniem. Łatwo więc sobie wyobrazić jéj ostateczną rospacz, gdy chodząc szybkim krokiem po pustéj i pobłoconéj posadzce salonu, załamywała ręce, nie wiedząc gdzie się tu podziać, jak zarządzić. Cała służba naraz odbiegła: lokaj pozostał przy plenipotencie, kucharz, strzelec, forszman, przeklinając i pomstując nierzetelność swéj pani, odjechali na nowe miejsca. Kochany Konradek z żoną, jeszcze pierwszego dnia licytacji, cichaczem wyjechał do jéj brata, z którym już od Sgo Jana wszedł do współki na gospodarstwo, a pieszczoch Emilek przesiadując w stajni, czyścił sam konie, przejeżdżał, poił, w towarzystwie kilku chartów i ogarów tak szczęśliwie ocalonych wśród powszechnego rabunku.

A tu znowu gromady żydków, z całą zapalczywością gniewu dość znaczną stratą podsycanego, wchodzili i wychodzili ze dworu, zostawiając w upominku nierzetelnéj pani tysiące wyrzutów i obelg. Ów świecący salon, któryśmy przed niedawnym czasem widzieli tak przystrojonym, dziś zakrawał na istną dezertę arabią, bo prócz zegara, kolumny alabastrowéj, dużego zwierciadła i kupy odłamków mebli, nic w niem nie pozostało. Kuchnia również przetrzebiona; przedpokój, kredens, czyściutkie, a tylko sypialnia co, zachowała dawniejszą powierzchowność.

Drugiego dnia nad wieczorem, zajechały trzy przyobiecane przez pana Szymona furmanki. Spakowano więc pozostałe ruchomości z pomocą przybyłych ze wsi włościan, zaprzężono parę cugowców do prostego chłopskiego wózka, i nad wieczorem, pyszna imość pokładając się od płaczu, całując kąty pustego domostwa i żegnając się z niemi na zawsze, musiała zamiast do karety wsiąść do wózka,

WIADOMOŚCI ZAGRANICZNE.

AMERYKA.

— Znajdujemy w *New-York Daily News* następujący godny uwagi artykuł:

Czy przyjdzie nam lub nie do walki z Angliją, wojna zawsze tak jest bliską racjonalnego prawdopodobieństwa wśród wypadków historji, że największa baczność zwróconą być powinna w każdym czasie i nawet w najspokojniejszych okolicznościach, na obronę kraju. Natura ludzka dzikszą jest w tych skupieniach socjalnych które nazywamy narodami, niż w jednostkach indywidualnych. Zaniedbywać własnej obrony, jest to zachęcać do atakowania nas, według tej zasady zupełnie podobnej, że wieśniak zostawiający otwarte drzwi swego ogrodu, wiedzie na pokuszenie przechodnia, któryby gdyby nie to, przeszedłby mimo nie wchodząc wewnątrz. Wszelka dyplomacja bierze punkt wejścia z względnego położenia stron stosownie do ich *ultima ratio;* najsłabszy i najmniej przygotowany daje prawo swojemu względniejszemu sąsiadowi uciekania się do strzałów działowych jako ostatniego argumentu i do najwyższego kodexu prawa mocniejszego. Jednem słowem najlepszem zabezpieczeniem pokoju, są liczne fortyfikacje na wszystkich punktach terrytorjum, nagromadzenie amunicji i ćwiczenie ludzi powołanych do obrony kraju. I tak zmniejszając łatwość powodzenia ataku, zmniejszamy jego podobieństwo. Oto jest obecna potrzeba, a ponieważ i ona uchodziła dotąd zawsze baczności rządu, w tem widzimy przyczynę nadzwyczajnej łatwości z jaką spotykamy pogróżki wojny. Niewątpliwość tej prawdy wykazuje się także z nadzwyczajnej drażliwości, jaką pokazujemy przy pojawieniu się jakiejkolwiek obcej eskadry w granicach naszych wybrzeży. Schwytani niespodzianie, nie mamy wtedy innego wyboru, tylko wojnę na los szczęścia i na wszelkie rezyko, albo improwizowane przygotowania na prędce, między wypowiedzeniem wojny i pierwszemi krokami nieprzyjacielskiemi.

Powtarzamy, nie jest to wcale rozsądna polityka pokoju. Długość brzegów naszego kraju wynosi prawie tyle co obwód ziemi. Nie ma ani jednego punktu któryby nie był przystępny najściu. Zatoka Nowego-Jorku przedstawia najdokładniej system obrony w pojęciu amerykańskiém. Są tam warownie przy wejściu, inne rozstawione wzdłuż brzegów, ale według zdania ludzi specjalnych, żadna z tych warowni nieprzedstawiłaby oporu pociskom nieprzyjacielskiej floty. Dla tego miasto nasze nie ma innej osłony, prócz szlachetności nieprzyjaciela. Narażać w ten sposób najżywotniejszy punkt naszego kraju, nie jestże to zuchwalstwem? Wszystkie inne punkta są równie na łasce napastnika. Ten tak ważny punkt wielokrotnie poddawany był pod roztrząsanie kongresu; wypadek tyczący się Nowego-Jorku szczególnie był przedmiotem drobnostkowych roztrząsań. Potrzeba tylko teraz ponowić to usiłowanie i ostrzeżenie, co nakazująco wymaganem jest i przez politykę zagraniczną teraźniejszej administracji i przez położenie krytyczne naszych wewnętrznych stosunków, które lada chwila przejść mogą z rąk pana Marsy w ręce pp. Davis i Dobbin. Zresztą byłoby to oszczędnością źle wyrachowaną; wojna na szczęście jest to kaprys i fantazja bardzo kosztowna, ale wyperswadujmy sobie, że każdy dolar użyty na obronę naszych brzegów i na wzniesienie imponujących baterji, które trzymać będą nieprzyjaciela w należytém uszanowaniu, wart jest miljonów straconych na samą wojnę. Nie ma tu możliwego środka. Albo porzućmy wszelkie pretensje niezgodne z wymaganiami Europy, a w takim razie będziemy mogli używać wszelkich dobrodziejstw stopy pokoju i zupełnego wstrzymania się od wszelkiej zewnętrznej woli, albo uzbrojmy się i przygotowujmy wszelkiemi siłami opierać się światu przeciw nam uzbrojonemu. (*Journal de St. Pet.*)

ANGLJA.

Londyn 18 Grudnia. Lord Cochrane w towarzystwie członka parlamentu p. Mackinnon udał się wczoraj z Folkestne do Boulogne i stamtąd pojedzie do Turynu.

— Kardynał Wiseman zaprzecza pogłosce, jakoby mianowany został bibljotekarzem w Watykanie.

— W sobotę odbył się wybór parlamentowy w hrabstwie Meath, nowo-wybrany członek izby niższéj p. M. Evoy nie jest tak wymowny i pełen talentu, jak jego poprzednik zmarły p. Lucas, były redaktor ultramontańskiéj gazety *Tablet.* ale pod względem usposobienia religijnego, jako katolik, nieustępuje mu wcale.

— Poeta Samuel Rogers zmarł zeszłéj nocy w 93 roku życia. Był on synem jednego z najbogatszych bankierów w Londynie, którego interesa prowadził po ukończeniu nauk w uniwersytecie. Jako poeta wystąpił on w roku 1786 i odtąd wydawał mnóstwo dzieł, które niejednokrotnie, a ostatni raz w 1853 roku były przedrukowane.

— W piątek w Coseley, w South Staffordshire miał miejsce w okręgu kopalniowym wybuch prochu, który czterech ludzi zabił, a wielu bardzo pokaleczył. Powodem wybuchu było zaniedbanie w chowaniu prochu używanego w kopalni do rozsadzania skał. (*Neue Preussische Zeitung*).

FRANCJA.

Paryż 18 Grudnia. Wiadomości z Nervi, są ciągle zadowalające. Królowa Marja Amelja zaczęła znowu wychodzić i używać przechadzki.

— Hrabina Cayle zapisała testamentem swój piękny zamek Saint Ouen hrabiemu Chambord. Idąc za uczuciami delikatności które każdy oceni, hra. Chambord nie przyjął téj donacji i w skutku kodycyllu zapisanego na przypadek téj odmowy, zamek ten został przysądzony miastu Paryż. Co to miasto zrobi z tego nowego majątku? jedni mówią że ma tam być zaprowadzony dom sierot pod opieką Cesarzowéj, inni zaś że będzie to filjalny zakład domu Legji honorowéj w St. Denis.

— *Univers* zapowiada że zakon Cystersów, który od czasów rewolucji nie miał swoich reprezentantów we Francji, pojawi się tu znowu i osadzi kilku swoich członków w klasztorze który niegdyś zamieszkany był przez cystersów, do których S. Bernard fundator tego zakonu, napisał swój list ostatni. Członkowie téj nowéj religijnéj osady, mają przybyć z Jerozolimy; między niemi znajduje się kilku francuzów, między innemi brat pułkownika Boudeville, adjutanta Cesarskiego, który poległ w Krymie.

Powrót tych kapłanów do Francji, jest skutkiem inicjatywy kilku książąt z rodziny Bonaparte, a mianowicie nalegania w tym celu księdza Lucjana Bonaparte u ojca Mossi byłego jenerała tego zakonu. Pozostaje tylko kilka drobnych formalności dla uregulowania téj sprawy.

— W téj chwili ruchome kolumny wyprawiane są do Tlemsen i innych rozmaitych punktów Algierji w celu zapobieżenia jakim poruszeniom pokoleń jeszcze niepodległych albo wątpliwéj wierności.

— Jeden z dzienników wieczornych donosi, że uszkodzenia zrządzone przez pożar w szkole sztuk pięknych, nie są tak znaczne jak się z początku obawiano. Ogół fresków pana Delaroche został uszkodzony, ale nie tak dalece żeby nie można było naprawić te uszkodzenia.

— Wszystkie wiadomości z południa Francji donoszą o nadzwyczajnych natężeniach mrozów. W Pontarlier termometr wskazywał 16 stopni zimna, a pewien właściciel z Veuilly (departamentu Doubs) zbłąkawszy się w drodze, zginął w śniegu niedaleko od swego domu. (*Indepen. Belge*).

— Nie ma wątpliwości że rząd ma jeszcze kilkaset miljonów rozmaitych pożyczek do rozporządzenia, ale cokolwiek za pospiesznie wróżą z tego, jak również z téj okoliczności, że skarb w zeszłym miesiącu nie potrzebował podnosić żadnych funduszów z banku, że potrzeba nowéj pożyczki o kilka miesięcy została oddaloną. Nie licząc nawet kosztów wojennych które w przecięciu wynoszą 100 miljonów na miesięc, nie należy zapominać że skarb w bieżącym miesiącu ma do zapłacenia procenty od 3-procentowéj, a w miesiącu marcu od 4½ procentowéj renty, które to ostatnie wynoszą przeszło 150 miljonów. Bardzo prawdopodobném jest, że pożyczka konieczną będzie nawet w tym razie jeśliby pokój został zawarty.

— Roboty około połączenia Luwru i Tuilleries nie licząc wcale wydatków na wewnętrzne przyozdobienia i t. p., kosztują już 18,799,763 franków 97 centym. Jeszcze następnie potrzebne roboty anszlagowane są na 10,860,000 fr., tak że budowa ta do zewnętrznego ukończenia kosztować będzie 30 miljonów.

— Paryżanie nie spieszą się z płaceniem nowowprowadzonego podatku od psów. Z pomiędzy najmniéj 50,000 tych zwierząt, rozmaitéj rasy które znajdują się w Paryżu, dotychczas podano do opodatkowania tylko 4500 sztuk.

Paryż 20 Grudnia. Dzisiejszy *Moniteur* donosi, że gwardje Cesarskie w dniu 29tym b. m. przybędą z placu wojny do Paryża i że Cesarz wyjdzie na ich spotkanie aż do placu Bastylji. (*Neue Pr. Ztg*).

HISZPANJA.

— Ustawa została nakoniec zatwierdzoną, ale kortezy nie uważają swego dzieła za ukończone, dopóki nie ułożą zasad mnóstwa praw organicznych.

Stronnictwo demokratyczne miało w zeszłą sobotę wystosować do gabinetu interpelację, żądając od niego zdania sprawy z kierunku politycznego jakim postępowali rozmaici jego członkowie, a mianowicie marszałek O'Donnell. Jeśli te interpelacje nie miały miejsca, to nie dla tego żeby izba nie chciała ich słuchać, jak to wnosiliśmy z depeszy nie jasno zredagowanéj, ale z powodu straty rodzinnéj, poniesionéj przez p. Rivero, mówcę, który miał zabrać głos w imieniu krańca

---

a zapuściwszy gęstą woalkę, ruszyła wśród zgromadzonego tłumu przychylnego i również zapłakanego chłopstwa.

Smutny to doprawdy był widok patrzyć na ten niejako pogrobowy orszak pańskości biednéj kobiety. Trzy fury niezupełnie zapakowane, posuwały się zwolna środkiem ulicy, a za niemi jak delikwentka na śmierć skazana, siedziała na lichéj wozczynie osłonięta czarną zasłoną niegdyś miljonowa pani, właścicielka kilku wiosek, gwiazda salonów krakowskich, perła dowcipu, gustu i mody. Sic transit gloria mundi! taka dola nierozważnych zaślepieńców, którzy ufając w niewyczerpaność swych skarbów, nie dbając o jutro, jak pstre motylki pląsają wiosną po kwiatach życia, wysysając same ich słodycze. Wiosna nie jest wiecznotrwałą, słodycze kwiatów zmieniają się w kwasy, dostatki ludzie zabiorą, przyjaźń pieniężna i przyjaźń karmiona, odlecą wraz z ostatnim brzękiem monety, z ostatnią wonią półmiska, a fusy zwątpienia, rzeczywistość w postaci nędzy, żal przeszłości i trwoga przyszłości, zaleją duszę i serce i głowę oceanem rospaczy, zatrują każde tchnienie, jak gdyby wszystkie żywioły świata tego spiknęły się na ich zagubę!

Otóż taką jest nagroda próżności człowieczéj! tak płaci ona swym sługom w zamian tylolicznych poświęceń honoru i sławy, czci i wiary, łez i upodlenia, energji i czucia, dostatków i nędzy. Wszystko zdepce szatańską mocą; wszystko ogarnie, pochłonie, strącając miljonowe usiłowania w jeden marny puch nicości. A jednak téj świetnie strojnéj tyrance, jeszcze nie zabrakło poddanych. Stami gromad biegną szaleńcy w jéj ułudne podwoje, rzucają wszystko, poświęcają wszystko, aby choć raz tylko popatrzyć w jéj fałszywe odblaski, olśnić jéj potęgą, dotknąć się mglisto nikłéj szaty, a potem już skonać, ale skonać z żalem przeszłości.

Jeszcze jéj niedosyć tego: całe plemiona, całe potomności, garnie pod swoje skrzydła, mleko niemowląt zatruwa, a w usta nowozaciężnego służalca, kładzie niejako słowa poety:

„A patrząc na to jak drudzy tonęli,
Jam wyrzekł w duchu: oni pływać nie umieli“

Tymczasem karawana przebywała wioskę za wioską. Ze wszystkich chat prawie, wylegały przed sień kobiety, starcy i dzieci i ojcowie: jedni łączyli się do postępującego orszaku, inni płacząc stali na progach póki tylko odjeżdżających dojrzyć byli w stanie. Bo też poczciwy a ubogi lud nasz, nigdy zakamieniałym być nie umie. Dręczysz go, biedzisz, katujesz, obdzierasz, on milczy z pokorą, a choć czasem oko zabłyśnie gniewem, to nigdy nad słabym lub nieszczęśliwym mścić się nie potrafi. Płacze całując rękę która go chłostała, i ten płacz z błogosławieństwem jako jedyną własność swoją, przesyła szczerze za odchodzącemi.

To też kiedy już zmierzchać się poczęło, a cała kawalkata przyciągnęła pod krzyż stojący na krańcu dóbr Sliwickich, jak zapłacze gromada jednym rykiem boleści, jak się nie rzuci pod koła wozów czepiając się salopy siedzącéj dziedziczki, jak zacznie całować i szlochać, to omal serce nie pękało z żalu biednéj kobiecie, a zbutwiałemi ramiony krzyża zdawało się potrząsł dreszcz litości i ziemia jękła bólem rozstania.

Choćby dla oszczędzenia tylko podobnéj chwili, to niewartoż panowie ziemianie rzucić kiedy niekiedy szczyptą współczucia dla swoich pracowników, i nie frymaczyć z krwią zimną, z kredą w ręku, losem téj pięknéj bożej ziemi, napojonéj serdecznym potokiem pracy i łez poczciwych kmiotków waszych!

I fury pomknęły znowu daléj, chłopstwo postawszy czas niejaki, ze spuszczonemi głowy ruszyło się ku wiosce, a księżyc i gwiazdy rostoczywszy się po niebie, zdawało się patrzą tego dnia smutniéj, jakby przyjmując udział w ogólnéj harmonji żalu serc bijących żywiéj na widok nieszczęścia bliźniego. Nie ujechali i dwóch mil, gdy noc okryła całunem ciemności tę ziemię, i jakkolwiek była to jedna z najpiękniejszych nocy letnich, choć księżyc dość grubym sierpem spoglądał ku ziemi, gwiazdy

lewego. Rozprawy te zatém zostały tylko odroczone, co jednak jak można na pewno liczyć, nie zmieni nic w ich przewidywanym rezultacie.

Jeśli mamy wierzyć pogłoskom rozchodzącym się w Madrycie, żywioły ultra-demokratyczne, pobite w swojéj kampanji parlamentowéj przeciw gabinetowi, zamierzają odwetować to sobie w agitacjach ludowych. Rząd przeciw któremu usiłują podburzyć opinję publiczną, przepisał środki ostrożności. Można przepowiedzić tym zamachom zupełne niepowodzenie. W chwili odejścia najświeższych depeszy telegraficznych, najzupełniejsza spokojność panowała tak w stolicy jak i w prowincjach. (*Ind. Belge*).

WIADOMOSCI Z WSCHODU.

— Czytamy w korespondencji gazety *Nord* z Konstantynopola 21 listopada:

Powtarzam się poczynając list mój od wyrażenia: »nie ma żadnych ważnych wiadomości z naszych okolic.« tym razem powiem jeszcze nie ma *poważnych* wiadomości. Te które obiegły już całą Europę w przedmiocie naszych świetnych zwycięztw w Kolchidzie, nie są obecnie poważnemi, i mniemają tu, że jedynym ich skutkiem są salwy naszych baterji i okrętów w Bosforze. Co do samego tego wypadku, było to proste spotkanie forpoczt rossyjskich skoncentrowanych nad Ingurnem z głównym korpusem wyprawy tureckiej. Zresztą nie wiemy jeszcze szczegółów tej sprawy.

Więcej jeszcze niż te wszystkie interesa wojskowe zajmuje nas sprawa oddania w ręce Turkom pieniędzy, które są niezaprzeczoną własnością Turcji i które w obecnych okolicznościach są dla niej niezaprzeczenie potrzebnemi. Zdawało się że sprawa ta została załatwioną według życzeń Porty i zgodnie z jej prawem, którego nikt tu rzeczywiście nie zaprzecza, ale które gwałcone jest bez litości. Donosiłem w ostatnim moim liście, że dwie ambasady przyjęły propozycję Porty, a mianowicie turecką komisję kontroli pod dyrekcją Kiani-paszy. Fakta te są zupełnie prawdziwe. Dziś wznowiono tę sprawę dla tego, że ambasador angielski szukał i znalazł sposób odwołania tych deklaracji.

Nie można przypisywać ten zwrot ambasadora jak tylko nowemu jakiemuś przystępowi złego humoru przeciw gabinetowi tureckiemu, jakiejś tajnej okoliczności, która podaje lordowi Redcliffe nadzieję zwalenia w bardzo krótkim czasie teraźniejszych ministrów. Do dawnych i ciężkich zarzutów przyłączyło się dziś odwołanie pana Aristarki. Wiadomo, że w zeszłym roku gdy ten sam pan Aristarki został przyzwany do Konstantynopola przez rozkaz Sułtana, lord Redcliffe, ten namiętny rycerz niezawisłości i praw monarszych Padyszacha, wydał ze swojej strony rozkaz gabinetowi tureckiemu, aby napowrót wygnał pana Aristarki, niepozwoliwszy mu nawet wylądować. Anglja w owej epoce nie straciła jeszcze swego uroku w Konstantynopolu i ambasador jej był istotnie lordem-komisarzem, a jego humor i kaprysy, były daleko dzielniejszemi prawami, niż te wszystkie które zapisane są w tanzymacie, ku wielkiemu zbudowaniu ludów Europy.

W tym przedmiocie przedstawię wam twierdzenie które wydawać się wam będzie parodoxalnem w najwyższym stopniu, jednakże zapiszcie je sobie i zostawcie czasowi usprawiedliwienie waszego korespondenta, jak go już w wielu razach czas i okoliczności usprawiedliwiły. Oto moje twierdzenie: »Nigdy dyplomacja szczególnie wielkich mocarstw, nie będzie szczerze przychylną do ostatniej chwili i bez żadnej wstecznej myśli, praktycznemu zastowaniu tanzymatu. Ministrowie tureccy mogą poświęcić swoje instynktowe wstręty i rozmaite przywileje niepojętemu prawu jakie im zapewnia tanzymat, to jest legalnego zachowania owoców nieprawności, jakie człowiek będący przy władzy zawsze ma sposobność popełniać.

Dawniej Sułtan mógł posłać ministrowi popadłemu w niełaskę, rozkaz wypłacenia do skarbu publicznego pewnej liczby miljonów piastrów, stosownej do długości jego urzędowania i ważności posady na jakiej mógł krzywdzić skarb i ludność. To należało do dawnego naszego systemu finansowego i stanowiło jednę z najważniejszych gałęzi dochodów Sułtana i skarbu. Było to główne źródło zasiłków w czasie wojny lub jakiego przesilenia Dziś system ten został zastąpiony pożyczkami i nasi mężowie stanu przez zetknięcie się z Europą, nauczyli się eskontować przyszłość państwa, z którego według swego zdania mają zupełne prawo ciągnąć korzyść.

Co do dyplomacji, dla czego chcianoby żeby ona własnowolnie narażała się na stratę swego najpiękniejszego przywileju, stosowania według swego upodobania klauzul traktatów lub używania swego wpływu w kwestjach bądź osobistych (co się najczęściej zdarza), bądź politycznych, i to wywierania tego wpływu bez żadnego względu na prawo krajowe. Co chwila słyszymy o oddalaniu urzędników Porty, o wygnaniach i wszelkiego rodzaju karach będących skutkiem reklamacji tego lub owego ambasadora albo konsula. Łaski wypływają także z tych samych źródeł, kosztem skarbu lub sprawiedliwości, a zawsze kosztem interesów państwa, ale na korzyść albo wpływu albo szkatuły, a najwięcej i wpływu i szkatuły tych którzy są rozdawcami łask i kar, nie zwracając nawet wcale uwagi na najprostsze przepisy przyzwoitości względem rządu skazanego być narzędziem własnego poniżenia w oczach ludu którym rządzi. Tutaj wszyscy wyliczają bogactwa nagromadzone w teraźniejszem przesileniu przez ajentów angielskich, szczególnie w Rumelji, dzięki wpływowi jaki wywierali.

Dużo byłoby do powiedzenia w tym przedmiocie i dużo skandalów do zanotowania. Ale powróćmy do pożyczki. Wiecie że ambasadar angielski znowu upiera się nie dać pieniędzy, dając za pozór, że czeka na dodatkowe instrukcje od swego dworu. Turcy aby się pomścić postanowili nie płacić ani grosza ze swego nowego długu względem negocjantów europejskich a szczególnie angielskich za dostawy wojskowe. Negocjanci skarżą się ambasadzie, a ambasador odpowiada im: »dla czego dajecie na kredyt rządowi niemoralnemu, zepsutemu i t. d., jakim jest ten który obecnie kieruje sprawami Turcji.« Negocjanci nie mają co odpowiedzieć i czekają niecierpliwie na powrot Reszyda-paszy do steru rządu.

Z resztą lord Redcliffe nauczył się postępować stosownie do okoliczności. Obecnie nadskakuje on usilnie Mehmedowi-Ali i gdy mu się nie udało zwalić go przez nieprzyjacielskie kroki prawdziwie skandaliczne, spodziewa się lepszego powodzenia z zabiegów przyjacielskich, które są prawdziwym skandalem po tém wszystkiem co lord Redcliffe niegdyś wygadywał na Mehmeda i po uroczystém jego oświadczeniu że nigdy nie wda się z nim w żadne stosunki.

Mówią że wielki obiad który Porta przygotowuje w admiralicji na cześć admirała, ma być okolicznością wymyśloną i ułożoną w celu sprowadzenia dwóch dawnych przeciwników i pogodzenia ich między sobą. Uważają tu jednak, że Mehmed-Ali dąsa się jeszcze trochę i nie chce kompromitować swojéj godności szwagra sułtana. Tyle możemy zapewnić, że wstrzymuje się od wszystkiego coby mogło wydawać się pierwszym krokiem z jego strony uczynionym. (*J. de St. Pet.*)

MIMI PINSON.

(Ciąg dalszy).

W tym celu Eugieńjusz wszedł do sklepu restauratora, w téj właśnie otworzonego chwili i zakupił żywności co tylko tam znalazł. To uczyniwszy udał się wraz z garsonem do mieszkania Roużetki, ale był w kłopocie jakim sposobem tak wejść nagle ni z tego ni z owego. Mina dumna którą zauważył już u téj dziewczyny, kazała mu się lękać jeżeli nie odmowy, to przynajmniej rozdrażnienia miłości własnéj; a przytem jak jéj tu wyznać że list jéj przeczytał.

Więc kiedy już przyszedł przededrzwi domu, zapytał garsona:

— Czy nie znasz przypadkiem młodéj osoby, która mieszka w tym domu, a nazywa się panna Bertin.

— Owszem, znam, — odpowiedział chłopak. — Ona się zwykle u nas stołuje. Ale teraz nie ma pan po co do niéj chodzić, bo ona obecnie znajduje się na wsi.

— Kto ci to mówił? — zapytał Eugieńjusz.

— A juścić odźwierna, proszę pana. Panna Roużetka lubi jadać dobre obiady, ale nie bardzo lubi płacić za nie. Już to do zadysponowania kurcząt smażonych, albo pasztetu z dziczyzny, jedyna jest, ale po pieniądze to trzeba do niej przychodzić nie raz i nie drugi. To też wiemy dobrze tu w sąsiedztwie kiedy ona jest w domu a kiedy jéj nie ma.

— Już wróciła — odrzekł Eugieńjusz. — Idź do niéj na górę, zostaw u niéj to co niesiesz, ale jeżeli ci co jest jeszcze winna, dziś się u niéj nie upominaj, Ja tu wrócę niedługo i wszystko to załatwię. Jeżel. zechce koniecznie wiedzieć kto jéj to wszystko posyłai to odpowiesz że to pan baron ***

Wyrzekłszy te słowa, Eugieńjusz oddalił się, ale po drodze wstąpiwszy do sklepu korzennego i kazawszy podać sobie świecę, nakleił jak mógł napowrót pieczątkę listu i wrzucił go do pudełka. Przecież, pomyślał sobie. Roużetka nie odeśle chłopca, a jeżeli będzie się jéj zdawało że odpowiedź na list jéj zaprędko przyszła, to niechaj się o to ze swoim panem baronem rosprawi.

Studenci również jak i gryzetki nie rodzień mają pieniądze. Eugieńjusz wiedział to dobrze, iż ażeby przyoblec w sukienkę prawdopodobieństwa małą bajeczkę, którą chłopak miał wyrecytować, trzeba był dołączyć do przesyłki sztukę złota, o którą prosiło Roużetka; ale w tem właśnie leżała cała trudnośbć,ba

igrając po niebie, skakały tu i tam formując ogniste wstęgi, łąki i pola woniały odurzająco, a swawolny konik strzegotał nieustannie, w duszy jednak znękanéj kobiety było tak czarno, w głowie taki zamęt myśli i wrażeń, że nie czując nawet chłodu i głodu, siedziała na wózku pół śpiąca, pół zapłakana.

Jechano noc całą i dzień cały, a dopiero ku wieczorowi, kiedy się już zmierzchać poczęło, powożący na pierwszéj furze zawołał:

— Ot chwała BOGU i Szymonów!

— Gdzie, gdzie? — zapytał ciekawie Emilek zeskakując z wózka.

— A tam na górze, kaj są te drzewa wysokie.

W saméj rzeczy, skręcając z głównéj drogi na prawo, nic prócz masy drzew na pochyłości góry stojących dojrzyć nie można było! Wąska drożyna coraz bardziéj zagłębiająca się w wąwozik, wiodła do owego Szymonowa i nią też ruszyła mała karawana. Po obu stronach drogi, zieleniły się krzaczki polnéj róży, głogu i leszczyny, a bujna trawą zarastając rzęsiście, wraz z długiemi warkoczami jeżyny, formowały pewien rodzej żywopłotu, zabespieczający drogę od obsuwań ziemi.

Ujechawszy ze stajanie, nasi wędrowcy ujrzeli śliczną ulicę wysadzoną już staremi drzewami, których gałęzie splotłszy się u góry, zacieniały wjazd do dworku. Przez bramę opatrzoną na wierzchu chruścianym częstokołem, wchodziło na mały dziedzińczyk symetrycznie zabudowany! Zaraz na lewo od bramy stał maleńki przysiadły domeczek, z gankiem dwoma słupkami podpartym, za nim na skręcie spichlerzyk na podmurowaniu, za nim jeszcze głębiéj leżą stodoły i stajnie z oddzielnym dziedzińcem. Na prawo znowu bramy, długa nieco nowsza chata słomą przykryta za mieszkanie służbie folwarcznéj służąca, na środku studnia z długim żurawiem, daléj na wprost dworka warzywny ogród spuszczający się po pochyłości góry, za nim równiutka łąka, a za nią znów drugi pagórek, lecz wyższy i wpółkole wgięty, zarośnięty świerkowym lasem. Patrząc się z okien mieszkania na tak wdzięczny krajobrazik, zdawało się że u spodu przeciwległego lasu, stoi rzęd tylko ciemno zielonych świerków, z tych wystrzela drugi, z drugiego trzeci, czwarty, aż do ostatnich wierzchołków maczających nastrzępione szczyty gdzieś tam aż w błękicie nieba,

Malutkie to i skromne, lecz nadzwyczaj miłe ustronko stanowiło folwark Szymonów. Całosci trudno opisać, bo tyle drzew do koła, tyle różnych z białéj brzeziny płotków, mostków a nawet i altanek, że trudno by po szczególe oglądać każden kącik, mający właściwy sobie powab. Dość będzie tego gdy powiem że o takich ustroniach marzą właśnie poeci, śnią młodzieńcy znękani przeciwnościami losu zawiedzeni w nadziejach, a starcy i wysłużeni emeryci szukają ich na zabój.

Lecz na umyśle pani Gąsiewskiéj, ta prostota, wdzięk naturalny i te dwie skromne izdebki czysto wybielone, wydały się istotnem więzieniem; grobem za życia. Wszędzie jéj było ciasno i duszno, widok lasu monotonją, skrzeczący żóraw, prawdziwą szubienicą, bujny sad, dzikim lasem; a śliczny i równiutki dziedzińczyk, miejscem zabawy kilkorga sześcioletnich dzieci.

Późno w nocy ustawiono przecie w izdebkach świetne szczątki świetniejszé jeszcze przeszłości, przybito zaraz firanki, zawieszono obrazy i może około 2éj z północy, ułożono się po wielkich lamentach na spoczynek. Sama pani z tego zmartwienia, że alabastrowa kolumna z takimże wazonem w pokoiku pomieścić się nie mogła, dostała gorączki wraz z okropną migreną.

* *
*

Nazajutrz, stosownie do rozporządzenia pana Szymona, stary karbowy już od lat trzydziestu w tym folwarku mieszkający, oddał klucze i cały zarząd nowemu dzierżawcy. Emilek kontent że użyć się już niepotrzebuje z całym zapałem rzucił się do gospodarstwa: jeździł po polach, krzyczał, odgrażał

w cyrkule Saint Jacques złoto nie jest wcale monetą zdawkową; z drugiéj strony, Eugieńjusz wziął na siebie obowiązek spłacenia restauratora, a na nieszczęście szuflada jego w téj chwili nie więcéj była od kieszeni zasobna. Dla tego więc nie wachając się, udał się na plac Panteonu.

W tym czasie mieszkał jeszcze na tym placu sławny cyrulik, który zbankrutowawszy niedawno, zrujnował się rujnując przytem innych. Do zasklepowéj jego izby, gdzie się zwykle odbywały lichwiarskie interesa na wielką i na małą skalę, jawił się codziennie jaki student bez grosza i trosków, może zakochany, który pożyczał na ogromną lichwę kilka sztuk pieniędzy, wydanych wieczorem, a drogo opłaconych nazajutrz; tam wchodziła ukradkiem jaka gryzetka, z głową spuszczoną, ze spojrzeniem zawstydzonem, pragnąc nająć na gdzieś tam na przejażdżkę wiejską jaki nieświeży kapelusz, albo szal wyblakły, albo nawet koszulę zakupioną w lombardzie; tam to także jaki młody syn bogatych rodziców, pożyczając dwadzieścia pięć luidorów, dawał kwit na dwa albo trzy tysiące franków; tam małoletni rospraszali przedwcześnie mający na nich spaść majątek, a nieoględni rozrzutnicy rujnowali rodziny, a nieraz tracili całą swoją przyszłość. Począwszy od utytułowanéj nierządnicy, któréj bransoletka zawraca głowę, aż do ubogiego nędzarza, który potrzebuje kilka sous na stary szpargał albo talerz bobu, wszyscy przychodzili żywić się tam jak do źródeł Paktolu, a lichwiarz cyrulik dumny ze swojéj klienteli i swoich wielkich czynów, któremi się szczycił, zapełniał codziennie więzienie w Clichy, dopóki tam sam nie ugrzązł.

Taki to był smutny środek, do którego Eugieńjusz z odrazą miał się uciec, dla przysłużenia się Roużetce, albo przynajmniéj dla postawienia się w możności zrobienia tego, bo nie sądził aby prośba podana do barona, wywołała pożądany skutek. Prawdę mówiąc, takie zadłużenie się ucznia dla jakiejś tam nieznajoméj, było dowodem wielkiéj dobroci serca, ale Eugieńjusz wierzył w Boga, każdy więc dobry uczynek uważał za konieczny.

Pierwsza twarz która mu się nawinęła kiedy wszedł do cyrulika, była przyjaciela jego Marcellego, który siedział przy toalecie z szyją obwiązaną ręcznikiem i udawał że się fryzuje. Biedny chłopiec przychodził może pożyczyć na zapłacenie kolacji wydanéj dnia wczorajszego; zdawał się bardzo zamyślony i marszczył brwi z wyrazem niezadowolenia, fryzjer zaś udając ze swojéj strony że układa włosy jego żelazkiem zimnem zupełnie, mówił do niego półgłosem dobrze odznaczonym akcentem gaskońskim.

Przed drugą toaletą w małym alkierzyku siedział jakiś nieznajomy, również przystrojony w ręcznik, i niespokojnem okiem spoglądał ciągle to w tę to w owę stronę, a przez drzwi na wpół uchylone z przedsklepowéj izby, widzić można było w lustrze zdobiącem starą tualetę, odbijającą się sylwetkę młodéj, wychudłéj dziewczyny, która z pomocą żony fryzjera przymierzała jakąś suknię w szkockie kraty.

— Czego tu potrzebujesz o téj porze? — zawołał Marcelli, który poznawszy przyjaciela, przybrał napowrót wyraz zwykłéj wesołości.

Eugieńjusz usiadłszy przy toalecie, opowiedział mu w kilku słowach swoje spotkanie i zamiar co go tu sprowadzał.

— A dalibóg, jak widzę — powiedział Marcelli — wielceś jesteś prostoduszny. Co ci tam do niéj, zostaw ją temu baronowi. Spotkałeś młodą, zajmującą dziewczynę, która potrzebowała posiłku, zafundowałeś jéj zimne kurczę i bardzoś się dobrze sprawił, nic nie mam przeciwko temu. Nie wymagasz od niéj żadnéj za to wdzięczności, chcesz zachować incognito, to wszystko jest bardzo heroiczną rzeczą. Ale posuwać się daléj, to już za wiele rycerstwa; dawać na zastaw zegarek lub swoje imie w ofierze szwaczce, którą opiekuje się baron i któréj się nie ma zaszczytu znać bliżéj, to czyn tak straszliwie bohaterski, że chyba jemu podobny znajdzie się w jakich historycznych powieściach Florjana, albo bajkach o błędnych rycerzach.

— Śmiej się ze mnie, jeżeli ci się to podoba — odrzekł Eugieńjusz; — ja wiem że na tym świecie więcéj jest ubogich niżbym ich mógł wesprzéć; lituję się nad tymi których nie znam, ale skoro którego z nich spotkam, muszę mu przyjść w pomoc. Cóżkolwiekbądź, niepodobna mi jest patrzyć obojętnie na cierpienia bliźnich. Moja dobroczynność nie dochodzi do tego stopnia, aby wyszukiwać ubogich, nie jestem dość majętnym na to, ale kiedy którego z nich spotkam na drodze, udzielam mu jałmużnę.

— W takim razie — odrzekł Marcelli, — dużo masz do czynienia; u nas na tym towarze nie zbywa.

— I cóż z tego! — odparł Eugieńjusz, jeszcze pod wrażeniem widoku, którego przed chwilą był świadkiem; — czyliż lepiéj pozwolić ludziom umrzéć, a samemu iść daléj swoją drogą? Ta nieszczęśliwa jest nierozważną, szaloną, czem zechcesz tylko, może niegodną współczucia które budzi, ale to współczucie jest niezależnem odemnie. Czyliż przekładasz postępowanie z nią jéj przyjaciołek, które zdają się tak dbać o nią, jakby jéj już na świecie nie było, a które wczoraj jeszcze dopomagały jéj do zrujnowania się? Do kogoż ona ma się udać? do nieznajomego może, który zapali cygaro jéj listem, albo do panny Pinson, która najweseléj gdzieś tam wieczerza sobie i tańczy w najlepsze, podczas gdy jéj towarzyszka umiera z głodu? Wyznaję ci szczerze kochany Marcelli, że to wszystko przeraża mnie. Ta panna Pinson, która wczoraj u ciebie śpiewała i dowcipkowała, śmiała się i bawiła na zabój, podczas kiedy bochaterka jéj opowiadania umierała gdzieś pod strychem, ta panna Pinson powtarzam ci, wstręt we mnie wzbudza. Wszakże żyły razem niby dwie przyjaciołki, prawie jak siostry, przez całe dnie i tygodnie biegały po teatrach, balach, kawiarniach, a nazajutrz jedna niewiedziała czy druga żyje jeszcze, przyznam ci się że to już gorzéj niźli oziębłość egoisty, to jest nieczułość bydlęcia. Ta panna Pinson jest potworem, a te gryzetki które ty chwalisz, te obyczaje bezwstydne, te przyjaźnie bezduszne, zasługują w moich oczach na pogardę.

Cyrulik, który w milczeniu słuchał całéj téj perory, układając ciągle zimnem żelazem włosy Marcellego, uśmiechnął się szydersko gdy Eugieńjusz mówić przestał. Jakkolwiek był on gadatliwy jak sroka, albo raczéj jak cyrulik, kiedy szło o obmówienie kogo stawał się jednak małomównym i lakonicznym jak Spartanin, gdy widział że idzie o interes i miał rostropne przyzwyczajenie dać się wówczas wygadać do woli swoim pacjentom, zanim sam słowo pisnął. Jednakowoż oburzenie, które tak gwałtownie przebijało się w mowie Eugienjusza, znagliło go do przerwania milczenia.

— Jesteś pan zbyt surowym — rzekł uśmiechając się. — Mam zaszczyt zajmować się głową panny Mimi i wiem dobrze iż to jest osoba z bardzo dobrem sercem.

— Tak jest, z dobrem sercem — odrzekł Eugieńjusz — kiedy idzie o picie, albo o palenie cygar.

— Może być — odparł cyrulik — nie przeczę temu. Młode osoby lubią śmiać się, śpiewać i palić cygara, ale to im nie przeszkadza miéć bardzo dobre serce.

— Do czego to zmierza, ojcze Cadédis? — zapytał Marcelli; — przestań dyplomatyzować i odpowiedz nam po prostu z mostu.

— Chcę mówić — odrzekł cyrulik pokazując izbę zasklepową — że tam oto wisi na gwoździu czarna materjalna sukienka, którą panowie znacie zapewne, ponieważ znacie jéj właścicielkę, a ona nie jest zbyt zasobna w garderobę. Panna Mimi przysłała do mnie tę sukienkę przededniem, a sądzę że jeżeli dotąd nie przyszła w pomoc Roużetce, to chyba dla tego, iż sama nie wiele miéć musi pieniędzy. *(d. c. n.)*

Dyrekcja drogi żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiéj. — Uwiadamia że w dniu 23 grudnia (4 stycznia) 1855/6 r. o godz. 12éj w południe, odbyte zostaną w magistracie m. Warszawy w terminie skróconym, przez opieczętowane deklaracje in minus licytacje na: a) czyszczenie kloak i b) wywózkę śmieci, gruzów i innych nieczystości na stacji głównéj drogi żelaznéj w Warszawie. Warunki szczegółowe na przedsiębierstwa te, przejrzane być mogą każcodziennie wyjawszy świąt i niedzieli od godziny 10éj rano do 2éj po południu w dyrekcji drogi żelaznéj na stacji głównéj tejże drogi, gdzie wszelkie objaśnienia udzielone będą, jak również w magistracie m. Warszawy. — Warszawa dnia 11 (23) grudnia 1855 roku. — Dyrektor jenerał-major. Schenschine. — Naczelnik kancelarji, radca honorowy, Kulikowski.

Zawiadamia się Szanownych Prenumeratorów Dziennika Warszawskiego, którzyby życzyli sobie otrzymać

KALENDARZ

Józefa Unger

NA ROK 1856.

iż przesyłając prenumeratę na Dziennik Warszawski za dołączeniem 1go Rs., otrzymają dwa exemplarze tegoż Kalendarza, które im kosztem wydawcy na miejsce odesłane zostaną.

TEATR WIELKI. Pojutrze: *Asmodea.*

TEATR ROZMAITOŚCI. Pojutrze: *Pociecha rodziny.—Pod strychem.*

Dziś rano stopni zimna 3, wczoraj w poł. zimna 3. Wysokość wody na Wiśle stóp 3 cali 5.

---

jakby jaki dorosły dzierżawca. Karbowy kiwał tylko głową, mruczał i robił swoje. Ale po tygodniu może takiéj uporczywéj wytrwałości, zaczęło się nudzić młodemu paniczowi; matka oddała mu resztki funduszu na najem ludzi do żniwa i inne potrzeby, a on téż czując kilkaset złotych w kieszeni, zaczął robić wycieczki do sąsiedniego miasta, i tam na jarmarkach lub targach zabrał znajomość z młodymi w sąsiedztwie mieszkającymi obywatelami. Naturalnie, że w rozmowach z nimi, obecna dzierżawka była tylko czasową, bo od Sgo Jana ma kupić obszerne dobra; nikt go tu nie znał, więc po części i wierzono, zwłaszcza że przy pochulankach miejskich, w niczem poniżyć się nie dał. Tymczasem na rachunek już wymłócić się mianego zboża, usłużni żydkowie pożyczali małe sumki nowemu dzierżawcy, tytułowali jasnym panem, a biedniejsza młódź szlachecka, widząc tę jego butność i wierząc przechwałkom, miała go za coś wyższego, zazdroszcząc pokryjomu. Powoli, powoli, wszedł już i do niektórych domów obywatelskich, a że to był chłopiec przystojny choć młody, wtrącał dość często francuzkie wyrazy, śpiewał pocieszne aryjki przy gitarze, polował nie źle, a zmyślał jeszcze lepiéj, więc przyjmowano go dość chętnie. Panny miały z niego zabawkę, i dobrą parę nóg do tańca, młodzi gotowego na wszelkie hulanki i polowania, starzy zaś słabą ale hardą głowiznę do pijatyki.

Tymczasem biedna matka siedziała na folwarku jak jaka zakonnica, Emilek zagarnął wszystkie fundusze, sprzedawał zboże, opłacał najem, prowadził niby rachunki, wyrzekając na ludzi którzy im majątek zagrabili. Ile razy Emilek przyjechał późno z jakiéj wycieczki, kochająca matka zaczęła robić mu wymówki, on czasem się tłumaczył, czasem przepraszał, a w końcu oburknął się jeszcze mówiąc:

— Cóż mama chce odemnie żebym tu jak kapucyn siedział zamknięty; mama się już nażyła dosyć, pozwól więc i mnie zabawić się czasem.

— Ależ moje dziecko to zawcześnie...

— Eh co ma być zawcześnie, wszyscy powiadają i młodzi i starzy, i panny i matki, że jestem sobie walny chłopiec. A żeby mama wiedziała jak mię przyjmują, jak serdecznie poją i ściskają, to doprawdy warto czasami i głupstwo zrobić. Ot i przeszłéj niedzieli w Zatorzu tańczyliśmy wybornie: ja zamówiłem sobie mężatkę do pierwszéj pary, stajemy, a w tem jakiś marymontczyk wyrywa się przedemną. — Atande! — krzyknę, ja mam starszą damę — on nie słucha a tańczy. Więc ja téż jak przypadnę do niego, jak zacznę krajać słowami, to powiadam mamie starzy pokładali się od śmiechu, a panny omal że mię nie nosiły na rękach.

— Czy tak? — przerwała matka patrząc się dotąd na swojego kanaczka jak w tęczę. — Daj buzi, dobryś ty chłopiec — mówiła całując go w czoło z całem wylaniem macierzyńskiéj radości. — Tylko się nie awanturuj moje dziecko, żeby cię czasem nie skrzywdzili; wszystko dobre, ale grzecznie, uprzejmie.

— Oh niech się mameczka o mnie nie boi, dam ja sobie radę.

— No ja wiem, tyś nie zawiódł moich nadziei, zasługuj się, zasługuj, a może i nie długo ujrzę cię żonatym i do tego z krociową panną.

— Nie — wyrzekł bardzo serjo Emilek — wie mama, ja nie mam najmniejszéj ochoty do żenienia się, bodaj to kawalerski stan...

— Ależ ty żartujesz kochanie?

— Jak Boga kocham tak prawda.

(Dalszy ciąg nastąpi).

W drukarni J. Unger. — Wolno drukować. — Warszawa dnia 12 [24] Grudnia 1855 roku. — Starszy Cenzor F. Sobieszczański.